



Zachód słońca Ziobry

Obecny szeryf pisowskiego miasteczka jest zagrożony polityczną śmiercią. Dlatego nie czekając, aż w końcu go odstrzelą, pierwszy wyciągnął rewolwer. Co mu to da?

Komentator i analityk polityczny jest dotknięty zawodowym skrzywieniem. Żeby móc coś napisać, poszukuje w wydarzeniach politycznych sensu, a jak poszukuje, to go znajduje – inaczej niż Kubuś Puchatek, którym im bardziej zaglądał do środka, tym bardziej Prosiaczka tam nie było. Nie może napisać: Drogi Czytelniku, to, o czym piszę, to „opowieść idioty pełna wściekłości i wrzasku”, bo ile razy można takie, generalnie słuszne, stwierdzenie oferować publiczności czytającej i też poszukującej sensu.

Zajmijmy się analizą wydarzenia zdumiewającego, czyli wnioskiem do Trybunału Konstytucyjnego skierowanym przez prokuratora generalnego Zbigniewa Ziobrę o uznanie za sprzeczny z konstytucją artykułu 267 Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej w zakresie umożliwiającym zadawanie Trybunałowi Sprawiedliwości UE pytań prejudycjalnych dotyczących niezawisłości polskich sądów. Wniosek ten pojawił się w najgorętszym momencie kampanii wyborczej i z punktu widzenia interesów PiS był to strzał w kolano. Dotychczasowe zarzuty opozycji o dążenie obozu władzy do polexitu mogły być przezeń dezawuowane, bo gdzie cień dowodu? Po wniosku Ziobry jest inaczej. I choć jego konsekwencją nie jest wyprowadzenie Polski z Unii, ale Unii z Polski, to na jedno wychodzi: czy kot pożera mysz, czy mysz otacza się kotem, końcowy efekt jest ten sam. A ogromna większość Polaków chce, żeby Polska była w Unii, a Unia w Polsce, i uprawdopodobnione podejrzenie, że jednego w drugim może nie być z powodu PiS, głosów tej partii nie przysparza.

Wprawdzie o wniosku Ziobry zarówno premier, jak i prezes PiS, gdy ich dopytywano, zgodnie twierdzili, że prokurator generalny się z nimi konsultował, ale co mieli robić: przyznać, że się nie konsultował i że oni nie panują nad partią i rządem?

Skoro nie o interes PiS tu chodzi ani o strategię konfliktu z Unią, to jaki ten wniosek ma polityczny sens? Właśnie ma: Jaki. Inaczej się bowiem rzeczy prezentują, kiedy spojrzymy na to wydarzenie z punktu widzenia interesów politycznych Zbigniewa Ziobry. Zrekonstruujemy polityczne uwarunkowania tego interesu.

Patryk Jaki, wiceminister sprawiedliwości, był do niedawna członkiem Solidarnej Polski, partii, którą założył Zbigniew Ziobro po odejściu z PiS. Na 9 dni przed wyborami pan Jaki wyokrętował się z nominalnie tylko istniejącej partii Ziobry i przesiadł się w sensie metaforycznym i dosłownym jako na razie bezpartyjny do autobusu z napisem PiS. A uczynił to w sytuacji, gdy za sprawą kampanii warszawskiej stał się w masowym odbiorze jedną z ogólnopolskich twarzy PiS. Minister sprawiedliwości od zawsze kreuje się na politycznego szeryfa walczącego z korupcją, przestępcami, oligarchami i bezprawiem w interesie szarych, spokojnych mieszkańców miasteczka. Ale jego zastępca Patryk Jaki jako szef komisji weryfikacyjnej także wszedł bardzo mocno w te buty, a ponadto w kampanii warszawskiej wzbogacił swoje – i PiS – przesłanie polityczne o nowe wątki, wyrrywając się w ten sposób z pułapki monotematyczności.

W pisowskim miasteczku mieliśmy więc dwóch szeryfów, a to była sytuacja nie do utrzymania. Na koniec dnia, w promieniach zachodzącego słońca jeden szeryf musi zastrzelić drugiego. W końcu Jaki spektakularnie przegrał w Warszawie i jego kariera stanęła pod

znakiem zapytania. A miało być inaczej. Pojedynek wydawał się nieunikniony. Ale w pisowskim miasteczku do żadnego pojedynku nie może dojść bez zgody najbogatszego farmera, który nim rządzi, czyli prezesa. On też wyznacza dzień, porę i przydziela przeciwnikom rewolwery oraz decyduje, czy pogrzeb będzie z honorami czy bez. I tu się okazuje nagle, że w rewolwerze szeryfa Ziobry kul nie ma, a nie jest to dżentelmen, który zacząłby strzelać, wiedząc, że nie ma naboju w lufie, i tym się różni od Kirka Douglasa z „Ostatniego zachodu słońca”.

Nie przydzielono mu amunicji, bo najbogatszy farmer nie zapomniał, że zakładając Solidarną Polskę, szeryf Ziobro grodził ziemię i usiłował mu ograniczyć dostęp do wodopoju. Przed wyborami w 2015 r. prawda etapu była taka, że opłacało się w zamian za hołd lenny przyciągnąć zbuntowanego szeryfa i dokooptować go do swojego układu, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Prawda etapu zmienną jest.

Wtej sytuacji zagrożony śmiercią polityczną szeryf bez wiedzy najbogatszego farmera amunicję sobie zorganizował i wystrzelił – w obronie własnej. Na czym ta obrona polega? Ano na zajęciu roli ikony przeciwstawionej Unii polskiego „suwerenizmu”, który z racji godności narodowej i podmiotowych praw Narodu każe się sprzeciwiać gmeraniu przez Niemca i brukselskie elity w tym, co najbardziej nasze – na przykład w gonieniu sędziów, których mentalność jest kastowa i śladu suwerenizmu w niej nie ma. Skoro ktoś zostaje ikoną suwerenizmu, to jest nieusuwalny, a co najwyżej przesuwalny – z rządu do Parlamentu Europejskiego, gdzie może na obfitym zasilaniu czekać, aż przez upływ czasu zostanie zdezaktywowany prezes Kaczyński. Jeżeli minister Ziobro rzeczywiście poczuł się zagrożony zupełną anihilacją, to mógł sobie właśnie taki europoselski cel polityczny postawić.

Zrekonstruowana powyżej hipotetyczna koncepcja polityczna Zbigniewa Ziobry nie uwzględnia istotnych okoliczności. Po pierwsze, jej domniemany autor nie wyciągnął wniosków ze smętnych losów Antoniego Macierewicza, ikony śledztwa smoleńskiego, który poczuł się z racji ikonizacji nieusuwalny i podniósł jawny bunt przeciw presowi w obronie swego faworyta Bartłomieja Misiewicza. Pan prezes poczekał na właściwy czas i ikonę przeniesiono do magazynu.

Po drugie, Ziobro nie zauważył, że PiS jest zorganizowany wedle zasad filozofii neoplatonickiej. Jest Jednia, źródło wszelakiego bytu, czyli Prezes, który jako Jednia wymanowuje swoje hipostazy: szeryfa, ikonę smoleńską, modernizatora Polski. Hipostaza jest jakością ontyczną tylko dzięki łączności z Jednią; gdy ten związek zostaje zerwany, hipostaza degeneruje się i rozwiewa.

Nie wróżę zatem dobrze Zbigniewowi Ziobrze. Sądzę, że wyrok śmierci na niego został już podpisany, a do egzekucji dojdzie, gdy prawda etapu na to pozwoli.

Szukałem sensu, szukałem i wydaje mi się, że znalazłem razem z Prosiaczkiem, Kirkiem Douglasem i Enneadami Plotyna. Ale nie wykluczam, że żadnego sensu nie ma i, parafrazując Słowackiego:

„A to wszystko są nonsensa,
Moje felietony nowe,
Gdzie się język mój wałęsa
I bawi zęby trzonowe”.

KOMENTARZ

Powrót sędziów

Ewa Siedlecka



Trybunał Sprawiedliwości UE tymczasowo zawiesił przepisy o wcześniejszej emeryturze dla sędziów SN i nakazał przywrócenie sytuacji sprzed 3 kwietnia.

Oznacza to, że sędziowie, których prezydent Duda wysłał na emeryturę, orzekają nadal – do czasu osądzenia przez Trybunał skargi Komisji Europejskiej. Trybunał zobowiązał Rzeczpospolitą Polskę, a więc jej wszelkie władze i organy, do „powstrzymania się od wszelkich działań zmierzających do powołania sędziów Sądu Najwyższego” w miejsce sędziów, których usunęła pisowska ustawa. A także od wyznaczania nowego Pierwszego Prezesa SN czy jego tymczasowego następcy.

Prezes Naczelnego Sądu Administracyjnego (także ten sąd objęły przepisy dotyczące SN) Marek Zirc-Sadowski już w kilka godzin po wydaniu tego postanowienia wezwał sędziów, którzy udali się w stan spoczynku, do powrotu i polecił przydzielić im sprawy do sądenia. To samo od poniedziałku dzieje się w Sądzie Najwyższym. Natomiast władze PiS i Kancelaria Prezydenta zapowiadają, że „przyjrzą się”, „przeanalizują” i „ustosunkują się” do postanowienia TSUE. MSZ wydało komunikat, że postanowienie ma „charakter prowizoryczny” i „nie jest ostatecznym rozstrzygnięciem”.

Z kolei przewodniczący Krajowej Rady Sądownictwa sędzia Leszek Mazur oświadczył, że KRS będzie „obserwować, jak się odniesie do tego Sejm, Senat i prezydent”. Czyli: organ konstytucyjnie stojący na straży niezależności sądów poczeka na instrukcje polityczne. Władze PiS zapowiadają, że do wykonania tego postanowienia należy uchwalić nowe przepisy. Zatem obok opcji odrzucenia czy polemiki z tym orzeczeniem rozważają też grę na czas: że wykonają, ale po swoim, i po jakimś procesie legislacyjnym, który musi potrwać.

Jednak to postanowienie działa bezpośrednio, jest częścią prawa obowiązującego w Polsce i ma pierwszeństwo przed polskimi ustawami – co wprost wynika z polskiej konstytucji i Traktatu o UE. Nie jest więc potrzebne uchwalanie czegośkolwiek. Powrót sędziów do orzekania nie wymaga w ogóle żadnych działań władz PiS. To wyłączna domena sędziów i prezesów SN i NSA. A oni już wykonują to postanowienie.

Pozostała część postanowienia TSUE: zobowiązanie władz politycznych do nieobsadzania miejsc sędziów, których przeniesiono w stan spoczynku, a teraz powrócili, skierowana jest także do PiS. Ale nawet jeśli KRS i prezydent się nie podporządkują – prezesi SN i NSA, wykonując to postanowienie, po prostu nie dopuszczają tych osób do orzekania. Taką sytuację mieliśmy już z dublerami w Trybunale Konstytucyjnym za czasów prezesury prof. Andrzeja Rzeplińskiego.

Tę walkę, prawnie, PiS musi z sędziami – także sędziami TSUE – przegrać. Ale politycznie może dalej iść ścieżką polexitu. Znaczący krok na niej zrobił na początku października prokurator Zbigniew Ziobro, zaskarżając do Trybunału Konstytucyjnego przepisy Traktatu o UE dotyczące pytań prejudycjalnych o interpretację prawa Unii, które sądy krajowe mogą zadawać TSUE. Skutkiem orzeczenia o ich niekonstytucyjności może być wypowiedzenie przez Polskę Traktatu (w Sejmie – zwykłą większością głosów) lub skonstruowanie przez TK jakiejś procedury wewnątrz krajowej weryfikacji, które pytanie sąd może zadać, a którego nie. Co byłoby oczywistym złamaniem tak Traktatu, jak i zasady trójpodziału władzy i niezależności sądów gwarantowanych w konstytucji.

Decyzja TSUE o zawieszeniu działania przepisów o „wycince” sędziów zapadła dwa dni po ujawnieniu tej skargi prokuratora Ziobry do TK, i jest całkiem prawdopodobne, że miała z tym związek. Groźba polexitu – choćby bez formalnego wystąpienia, ale przez faktyczną utratę udziału w jej funkcjonowaniu, jest bardzo realna. Premier Morawiecki po informacji o postanowieniu zabezpieczającym TSUE oświadczył, że „80 proc. Polaków chce reformy wymiaru sprawiedliwości”.

Może PiS rzeczywiście wierzy, że Polacy gotowi są zapłacić utratą unijnych paszportów i dotacji za przejęcie przez władzę polityczną wymiaru sprawiedliwości. Ale rzeczywistość (badania opinii publicznej: 80 proc. za Unią) i zdrowy rozsądek temu przeczą.

POLSKA OSTATNIEGO
ĆWIERĆWIECZA OKIEM
JEDNEGO Z NAJBARDZIEJ
WPŁYWOWYCH DZIENNIKARZY



TOMASZ LIS
HISTORIA PRYWATNA

Wydawnictwo
ab
two

W księgarniach
od 31 października

ZAPRASZAMY
NA PREMIEROWE SPOTKANIA
TOMASZA LISA

Krakowskie Targi Książki
28 października godz. 14:00

Teatr Powszechny w Warszawie
29 października godz. 19:00

Zaskakujące kariery prokuratorów od taśm

Patrząc na działania prokuratorów w aferze podsłuchowej, można odnieść wrażenie, że po zmianie władzy każdy na niej skorzystał. Niektórzy już wcześniej wyspecjalizowali się w prowadzeniu spraw, które stawiały ludzi PO w niekorzystnym świetle.

Wszystko wskazuje na to, że zawiodły nie tylko służby, ale także prokuratura, która w wyjaśnianiu podsłuchów ograniczyła się jedynie do „biznesowo-finansowego” wątku, pomijając udział ludzi PiS i rosyjskich służb. To, co rzuca się w oczy, to wybór do śledztwa podsłuchowego jednych z najlepszych prokuratorów, a na pewno doświadczonych w prowadzeniu spraw, w których ważni ludzie związani z PO pojawiali się w kompromitującym kontekście. Jak na nagraniach kelnerów.

Jedną z nich jest sprawa zaniedbań przy organizacji lotów do Smoleńska. Prokuratorzy z Pragi doszli do wniosku, że funkcjonariusze BOR nie dopełnili obowiązków (nie miało to jednak wpływu na to, że 10 kwietnia 2010 r. doszło do katastrofy). Efektem tego śledztwa były zarzuty, a później również wyrok 1,5 roku więzienia w zawieszeniu dla byłego wiceszefa BOR gen. Pawła Bielawnego, co PiS przyjął z zadowoleniem. Oskarżał go prokurator Józef Gacek, opierając się m.in. na opinii biegłego, byłego wiceszefa BOR, który – jak informowała „Gazeta Wyborcza” – był wówczas w sporze z kierownictwem Biura (chodziło o wypłatę 400 tys. zł ekwiwalentu za mieszkanie służbowe).

Ta sama prokuratura i ten sam prokurator Gacek w tym samym mniej więcej czasie oskarżyli byłego senatora PO, słynnego adwokata i scenarzystę Zbigniewa Piesiewicza o posiadanie narkotyków. Sprawa była słynna i bulwersująca, dużą rolę odegrały w niej kompromitujące nagrania. Wykonali je szantażyści, ale zdaniem prokuratora głównie zarejestrowali to, jakoby senator zażywał narkotyki. Byłemu senatorowi groziło nawet trzy lata więzienia, prokuratura domagała się sześciu miesięcy w zawieszeniu. Gacek szantażystów potraktował tylko odrobinę surowiej – żądał 1,5 roku więzienia w zawieszeniu. Sąd uniewinnił Piesiewicza, a szantażystów skazał na bezwzględne więzienie. Jeden ze składów orzekających stwierdził, że „niedopuszczalne było oskarżenie osoby o nieposzlakowanej opinii, (...) wyłącznie w oparciu o obciążające zeznania przestępcy i szantażysty”. Co jeszcze wiąże tę sprawę z aferą podsłuchową? Nagrania senatora Piesiewicza miał oglądać słynny kelner Łukasz N., który wtedy pracował w restauracji Lemongrass, uchodzącej za „okablowaną” przez Rosjan.

Z kolei Józef Gacek to ten prokurator, który w 2014 r. tuż po wybuchu afery podsłuchowej razem z funkcjonariuszami ABW wszedł do redakcji „Wprost” i tak nieudolnie próbował odebrać laptop naczelnemu gazety, że doprowadził do wielkiej awantury. Najpierw w redakcji, potem w całym kraju. Już na starcie śledztwo zostało ośmieszona, a rząd z premierem Tuskiem na czele – choć prokuratura była wówczas niezależna – oskarżony o atak na wolność prasy.

Gacek był wówczas naczelnikiem wydziału śledczego praskiej prokuratury okręgowej. Dziś jest jej szeregowym śledczym (podał się do dymisji wiosną 2016 r. po odsunięciu jego podwładnego za próbę wszczęcia śledztwa w sprawie nieopublikowania wyroków TK). W tym samym wydziale pracowali inni prokuratorzy zaangażowani już bezpośrednio w wyjaśnianie sprawy podsłuchowej, z Anną Hopfer, czyli głównym oskarżycielem Falenty i kelnerów, na czele. Im – było ich w sumie troje – powiodło się lepiej niż Gackowi.

Wszyscy mieli wiele do stracenia, ale i do zyskania. Gdy wybuchła afera podsłuchowa, byli u progu karier. Najstarsza z nich Anna Hopfer w 2014 r. miała 39 lat, która dla Falenty chciała 1,5 roku więzienia w zawieszeniu (sąd orzekł 2,5 roku bez zawieszenia, sytuacja

podobna jak w sprawie szantażystów Piesiewicza), awansowała pod koniec 2015 r., a więc już za rządów PiS, niedługo po wysłaniu do sądu aktu oskarżenia w sprawie organizatorów podsłuchów. Została delegowana do Prokuratury Apelacyjnej (przemianowanej za rządów PiS na Regionalną). Co ciekawe, pracowała tam do lipca tego roku, a tzw. delegację przedłużano jej już za rządów Zbigniewa Ziobry. Dobrze wiodło się też jej mężowi Przemysławowi Hopferowi, który dostał posadę w spółce Skarbu Państwa. Mimo braku doświadczenia w branży metalowej został prezesem KGHM Metraco. Trafił tam ze stanowiska wiceprezesa spółki Komfort, która prowadziła sieć sklepów z dywanami i wykładzinami. Tu ciekawostka: zarówno Komfort, jak i poprzednia firma, w której pracował Hopfer, czyli Barlinek, należą do Michała Sołowowa, również nagranego przez kelnerów.

KGHM Metraco jest spółką-córką KGHM zajmującą się m.in. skupowaniem złomu miedzi. Hopfer znalazł się tam pod koniec 2016 r., a niedługo później dostał fotel szefa rady nadzorczej innej państwowej spółki – Centrozłomu Wrocław. Obie stracił – pierwszą w kwietniu, drugą w lipcu tego roku. Stało się to tuż po tym, gdy prezesem KGHM przestał być człowiek, który ściągnął do firmy Hopfera, czyli Radosław Domagalski-Łabędzki, uważany niegdyś za protegowanego Mateusza Morawieckiego, dziś kojarzonego z ministrem Mariuszem Kamińskim.



Mimo to Hopferowie na pewno skorzystali. Jak wynika z oświadczenia majątkowego Anny Hopfer, oszczędności małżonków w 2017 r. wzrosły w porównaniu z 2015 r. o 360 tys. zł. Kupili też kolejne, trzecie mieszkanie, o powierzchni 60 m kw. Gdy zadzwoni-

liśmy do Anny Hopfer, początkowo nie chciała przyznać, kim jest jej mąż. Zrobiła to dopiero po dłuższej chwili, zapewniając, że karierę zawdzięcza tylko sobie, a nie jej, bo jest doświadczonym menedżerem i specjalistą w swej dziedzinie. To, że mogło być inaczej, nazywa insynuacjami. Zapewnia, że wszystkie wątki, które pojawiły się w śledztwie, zostały zweryfikowane. O braku „drugiego dna” zapewnia również Przemysław Hopfer, który dodaje, że jest menedżerem, nie politykiem, i że do KGHM przyszedł na prośbę prezesa miedziowego giganta, który potrzebował doświadczonych ludzi.

Na aferze podsłuchowej skorzystali też inni prokuratorzy z wydziału śledczego praskiej prokuratury okręgowej i podległych jej rejonówek. Najbardziej jeden – pracujący jeszcze w 2015 r. w Prokuraturze Rejonowej dla Warszawy Pragi Północ Adam Borkowski, który do sprawy podsłuchowej doszł już na sali sądowej (proces ruszył w maju 2016 r.). Dziś ten 38-latek jest wiceszefem praskiej prokuratury okręgowej, co przełożyło się wyraźnie na zawartość jego konta. Jego oszczędności wraz z żoną w ciągu dwóch lat skoczyły z zera do 81 tys. zł.

Jego o rok starszy kolega Piotr Kowalik pod rządami „dobrej zmiany” także zaliczył przeprowadzkę – z rejonu w Wołominie na ten sam szczebel prokuratorski, ale już w Warszawie Pradze Południe. Mocniej zakotwiczyła tam również jego żona, za rządów PO radca prawny w państwowym Banku Gospodarstwa Krajowego, która w 2015 r. wybrała karierę w prokuraturze. Najpierw jako asesor, zaś w 2017 r. już pełnoprawny prokurator. Państwo Kowalikowie również zgromadzili spory majątek, ich zasoby wzrosły między 2015 a 2017 r. głównie za sprawą nowego lexusa IS 200t (wartego dziś około 130 tys. zł) i 30 tys. zł ulokowanych w fundusz inwestujący w złoto.

GRZEGORZ RZECZKOWSKI

Po co nam sejmiki

Wybory do sejmików najbardziej przypominają te parlamentarne i to wyniki do sejmików świadczą o realnej sile partii. W 2015 r. w wyborach parlamentarnych PiS pokonał PO ponad 13 pkt proc. W wyborach do sejmików przewaga partii Kaczyńskiego nad Koalicją Obywatelską stopniała do 6 proc. Trzecią siłą okazało się PSL. Wyniki te pokazują, że PiS jest wprawdzie największą siłą polityczną, ale przegrywa z obozem partii demokratycznych. W poprzednich wyborach PiS wygrał w pięciu sejmikach, ale samodzielnie rządził tylko w jednym – na Podkarpaciu. Zdobyć najwięcej procent głosów w wyborach do sejmików to jedno, a posiadać zdolności koalicyjne to już inna historia.

Sejmiki wojewódzkie, wybierane na pięć lat, choć najbardziej oddalone od mieszkańców ze wszystkich niezależnych od siebie trzech szczebli samorządu (gmina, powiat i województwo), mają na nasze życie ogromny wpływ. Sejmiki uchwalają miejscowe prawo, budżet dla województwa i zasady udzielania dotacji z tego budżetu. W sejmikach zasiadają radni – wybrani w niedzielę w wyborach bezpośrednich – po 30 w województwach do 2 mln mieszkańców oraz po trzech radnych na każde kolejne pół miliona mieszkańców. Najwięcej radnych ma województwo mazowieckie – 51, śląskie – 45, małopolskie – 39, a sześć województw ma ich po 30, w tym np. lubskie i podlaskie. To w województwie powstają strategie rozwoju regionu i rozdziela się unijne fundusze. To samorządowe władze wojewódzkie mają za zadanie pobudzać aktywność gospodarczą w regionie, a także dbać o zachowanie wartości środowiska kulturowego i przyrodniczego oraz kształtować ład przestrzenny. To sejmiki przegłosowywały uchwały antysmogowe i wprowadzały zakazy palenia w tzw. kopciuchach. To od władz samorządowych w dużej mierze zależy stan dróg i transportu, a także infrastruktura społeczna (edukacja publiczna, ochrona zdrowia, pomoc społeczna, rozwój kultury, przeciwdziałanie bezrobociu).

Województwie władzę uchwałodawczą mają sejmiki, a wykonawczą zarząd województwa. Sejmik również kontroluje zarząd. W zarządzie jest marszałek województwa, jeden lub dwóch wice-marszałków, skarbnik i dodatkowo kilku członków – wszyscy wybrani przez sejmik. Sejmik ma swojego przewodniczącego i wiceprzewodniczących (nie więcej niż trzech), którzy nie mogą wchodzić do zarządu województwa, a więc do władzy wykonawczej. Marszałek wszystkim zawiaduje, jest szefem zarządu. Nie należy mylić go z wojewodą, który reprezentuje rząd w terenie, a powołuje go premier. Marszałek do pomocy ma urząd marszałkowski, który zapewnia jemu i sejmikowi obsługę kadrową, prawną, organizacyjną i techniczną. Marszałek reprezentuje województwo, wydaje zarządzenia, udziela upoważnień.

Wiele wskazuje na to, że w większości województw sejmikowe koalicje PO-PSL powinny być kontynuowane, choć pod zmienionym szyldem KO-PSL. (DĄB.)

Jan Koza



Albatros travel

Skandynawska jakość od 1986 r. | Małe grupy | Bilety wstępów w cenie

3 posiłki dziennie



Rejs statkiem z St. Petersburga do Moskwy lub z Moskwy do St. Petersburga

Nowość



Terminy: 27/07/2019

lub 26/08/2019 (Moskwa – St. Petersburg) od 6498 zł

Rejs Wołgą w czasie którego poznamy prawdziwą Rosję od Placu Czerwonego w Moskwie przez Uglicz i Jarostaw (lista UNESCO) aż po Pałac Zimowy w Petersburgu.

Program wycieczki: Dz. 1. Przelot do St. Petersburga. Zaokrętowanie na statku. Dz. 2. Zwiedzanie Twierdzy Pieropawłowskiej. Dz. 3. Pałac Zimowy/Ermitaż. Dz. 4. Centrum rzemiosła ludowego Mandrogi. Dz. 5. Chroniona prawem UNESCO wyspa-muzeum Kiży z niesamowitymi drewnianymi cerkiewiami. Dz. 6. Goritsy. Miasteczko Kirittow i odwiedziny w prywatnym domu. Dz. 7. Jarostaw nad Wołgą (lista UNESCO). Zwiedzanie miasta wraz z muzeum sztuki. Dz. 8. Uglicz. Zwiedzanie miasta – m.in. Cerkiew Na Krwi. Dz. 9. Moskwa. Zwiedzanie miasta m.in. Zamoskworieczje i Czerwony Plac, czas wolny. Dz. 10. Zwiedzanie Kremla. Dz. 11. Wylot z Moskwy do Warszawy

2 posiłki dziennie



Zimowy wypoczynek w słońcu Andaluzji

22 dni

Odwiedź słoneczną Hiszpanię! Odpocznij na Costa del Sol i zwiedzaj przepiękne miasta Andaluzji. Długi wyjazd – więcej słońca i radości!

Wylot 23/01/2019

4998 zł

Program wycieczki: Dz. 1. Przelot z Warszawy do Malagi. Dz. 2. Zwiedzanie Malagi. Dz. 3–4. Czas wolny. Dz. 5. Wycieczka do Rony. Dz. 6–7. Czas wolny. Dz. 8. Wycieczka do Mijas. Dz. 9–10. Czas wolny. Dz. 11. Wycieczka na Gibraltari (dodatkowo płatna). Dz. 12–13. Czas wolny. Dz. 14. Wycieczka do miasta Nerja i znajdujących się tam jaskiń oraz do Frigiliany (dodatkowo płatna). Dz. 15–16. Czas wolny. Dz. 17. Wycieczka do Sewilli (dodatkowo płatna). Dz. 18–20. Czas wolny. Dz. 21. Czas wolny i pożegnalna kolacja. Dz. 22. Przelot z Malagi do Warszawy

Cena zawiera: opiekę polskiego pilota, przelot rejsowy z Warszawy, zakwaterowanie w pokojach 2-osobowych, wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe oraz bilety wstępów.

Rezerwacja +48 22 128 48 81

Adres: Warszawa ul. Marszałkowska 74

albatros.pl

Kod reklamy: PL24



Brexit jak z Kafki

W negocjacjach brexitowych panuje chaos i coraz więcej Brytyjczyków chciałoby ponownego referendum, żeby zagłosować za zostaniem w Unii.

Premier Theresa May pod ostrzałem, wielotysięczne manifestacje w Londynie za ponownym głosowaniem powszechnym, główny negocjator z ramienia UE wciąż niepewny, czy da się uniknąć rozvodu bez porozumienia stron. Liderzy UE są sceptyczni, czy odbędzie się planowany na listopad szczyt mający je sfinalizować. Dyplomaci brytyjscy nie tracą nadziei, ale mówią, że trzeba się też szykować na najgorsze. Tak ma się sprawa brexitu na pół roku przed zapowiadany na 29 marca 2019 r. wyjściem Wielkiej Brytanii z Unii Europejskiej. Poczuć niepewności potęguje sprawa przyszłej irlandzko-irlandzkiej granicy lądowej między UE a Zjednoczonym Królestwem, przebiegającej przez Zieloną Wyspę. To na niej utknęły końcowe negocjacje.

Unia oczekuje od Londynu tak zwanej siatki ochronnej (*backstop*), czyli bezterminowych gwarancji, że granica ta nie będzie „twarda”, nawet jeśli nie dojdzie do porozumienia rozwodowego. Tego oczekują też politycy w republice i republikanie w Irlandii Północnej. „Utwardzenie” granicy może ich zdaniem odmrozić północnoirlandzki konflikt zbrojny. „Miękką” granicą oznaczałaby brak punktów kontrolnych i swobodny przepływ osób i towarów w ramach unii celnej z UE i wspólnego rynku unijnego, włącznie z systemem VAT. Premier May taką koncepcję odrzuca, gdyż widzi w niej zagrożenie dla integralności terytorialnej. Odrzucają ją także obecny minister spraw zagranicznych Jeremy Hunt (zasłynął publicznym porównaniem UE do ZSRR) oraz północnoirlandzcy unioniści popierający rząd May w parlamencie brytyjskim. Bez rozwiązania kwestii granicy raczej nie uda się osiągnąć porozumienia z UE. Aby przełamać impas, May zaproponowała przedłużenie okresu wcielania w życie brexitu do grudnia 2020 r. Do tego czasu relacje UK z UE mają pozostać z grubszą bez zmian. To z kolei wywołało ostrą krytykę twardogłowych brexitowców w jej własnej partii. Sytuacja robi się coraz bardziej kafkowska.

Strzały na Krymie

Nieszczęśliwym efektem globalizacji nazwał prezydent Władimir Putin strzelaninę w szkole średniej w Kerczu, portowym mieście leżącym na wschodzie okupowanego przez Rosję Krymu. Sprawcą był jeden z uczniów. Użył legalnie kupionej broni i ładunków wybuchowych domowej roboty, przygotowanych z prochu uzyskanego z amunicji. Zabił 20 uczniów i nauczycieli, około 70 osób ranił. Miał nie cierpieć szkoły i nie znajdować zrozumienia wśród rówieśników. Nie przejawiał agresji, nie łamał prawa, otrzymywał stypendium. Okoliczności wskazują, że mógł inspirować się strzelaniną z 1999 r., do której doszło w Columbine, w amerykańskim stanie Kolorado. O ile właśnie w USA dochodzi do takich zdarzeń bardzo często, o tyle w Europie szkolne strzelaniny pozostają rzadkością. Pierwszy raz w Rosji uczeń otworzył ogień w szkole dopiero cztery lata temu w Moskwie. Minionej wiosny wyjątkowo po broń sięgnęła dziewczynka, trzynastolatka z syberyjskiego Szadrinska strzelała z pistoletu gazowego.

Emocje związane z zamachem, który w dodatku został dokonany na terenach okupowanych, wykorzystali politycy. Prezydent Petro Poroszenko składał kondolencje mieszkańcom Krymu jako obywatelom Ukrainy. Ukraińskie media zwracały uwagę, że zamachowiec sympatyzował z ideami rosyjskiego nacjonalizmu, w tym pomysłem Noworosji. Natomiast Putin zrzuca winę na internet i słabą kontrolę państwa nad zawartością sieci. Stwierdza, że do podobnych tragedii będzie dochodzić tak długo, jak długo niestabilni młodzi ludzie zachowują zbyt swobodny dostęp do treści dla młodzieży nieodpowiednich, a państwo nie dostarczy im atrakcyjnej alternatywy – wzorców prawdziwego, użytecznego bohaterstwa.

Książę jest nagi

Do poniedziałku pewne było tylko jedno – dziennikarz i prominentny krytyk saudyjskiego reżimu Dżamal Chaszogi nie żyje. W piątek przyznał to nawet szef saudyjskiego MSZ. Przypomnijmy, saudyjski obywatel Chaszogi wszedł 2 października do saudyjskiego konsulatu w Stambule, aby załatwić sprawę rozwodową. Od miesięcy mieszkał w Turcji, bo obawiał się, że w ojczyźnie czekałoby go więzienie lub śmierć. Nigdy z tego konsulatu nie wyszedł. Saudyjczycy od początku zmieniali wersje. Dopiero po 18 dniach przyznali, że dziennikarz zmarł w konsulacie – w wyniku bójki „z jakimś ludźmi”, ciała jednak nie mają. Władze tureckie są przekonane, że Chaszogiego zabiła grupa saudyjskich agentów, która tego dnia przyleciała do Stambułu. Ponoć istnieją nawet nagrania z momentu zabójstwa.



Sprawa Chaszogiego to międzynarodowa kompromitacja **księcia Mohammeda bin Salmana**, znanego też jako MBS. Młody książę rozbudził nadzieje na modernizację królestwa, gdy po awansie na następcę tronu i de facto władcę kraju zapowiedział obyczajową liberalizację, w tym zezwolenie kobietom na prowadzenie aut. Ale nawet jego bliski sojusznik Donald Trump, który jeszcze kilka dni temu mówił, że „byłoby wspaniale, gdyby książę nie był odpowiedzialny za śmierć Chaszogiego”, musiał przyznać, że Saudyjczycy „oszukują i kłamią” w sprawie dziennikarza. Księciu wydawało się, że dostał od Amerykanów *carte blanche* w zamian za zaangażowanie w cichej wojnie z Iranem. I rzeczywiście, Biały Dom nie reagował, gdy MBS zablokował Katar, w Jemenie rozpętał ludobójczą kampanię, aresztował najbogatszych Saudyjczyków czy gdy zaczął uśmieszczać się do Władimira Putina. Problem w tym, że odcienie się Trumpa od MBS oznaczałoby klęskę całego pomysłu na politykę bliskowschodnią.

Więcej na s. 52.



Pamięć przedawniona

Sąd w Madrycie wydał właśnie pierwszy wyrok w sprawie „skradzionych dzieci”, 49-letnia **Inés Madrigal**, której losów dotyczył, nazwała go „gorzko-słodkim”. Sąd udowodnił winę 85-letniego Eduardo Veli, długoletniego szefa madryckiej kliniki położniczej San Ramón, odpowiadającego po latach za porwanie Ines tuż po urodzeniu i sfalszowanie dokumentacji, ale nie wymierzył mu kary z powodu przedawnienia tych czynów. Ines wiedziała, że jest adoptowana i że matka „załatwiła sobie dziecko” pochodzące ze związku pozamałżeńskiego u znajomego księdza jezuita. Nie wiedziała, że dr Vela sfabrykował dokumenty o ciąży i porodzie

przyszywanej matki, nie było adopcji, a po biologicznych rodzicach zatarto wszelkie ślady.

Ten proceder – zamieniania dzieci i podmieniania rodziców – trwał od końca lat 30. do samego schyłku epoki Franco, 40 lat później. Na początku miał wymiar karno-polityczny i podłoże eugeniczne: noworodki zabierano wrogom systemu i trafiały do ultrakatolickich zwolenników generała. Później zamienił się w sprawny mechanizm przekazywania z rąk do rąk dzieci młodych matek, rodzin wielodzietnych i z marginesu, a dużą rolę pełniły tu siostry zakonne pracujące w klinikach położniczych i prowadzące sierocińce. Pomocnicą dr. Veli w San Ramón była siostra Maria, Maria Gomez Velbuena (zmarła dwa lata temu). Kilka razy stawała przed sądem, ale nigdy nie wyjaśniła swojej roli. Również Vela odmówił wszelkich informacji dotyczących biologicznych rodziców porwanych dzieci.

Historia „skradzionych dzieci” wybuchła dopiero w 2011 r., na fali rozliczeń ze zbrodniami epoki Franco, wcześniej odkreślanych grubą kreską. Ale dochodzenie do prawdy i sprawiedliwości jest niezwykle żmudne i powolne. Dziś wiadomo, że przypadków podmienionych dzieci było przynajmniej 30 tys.; z 2100 spraw wniesionych do sądów w 1600 przypadków odmówiono postępowań ze względu na przedawnienie. Inés Madrigal będzie się odwoływać do Sądu Najwyższego, że w takich sprawach nieważny jest upływ czasu. Ale ona i podobni w jej sytuacji mają coraz mniejsze szanse.

Jeszcze jedna wojna z Chinami

Do rozmaitych organizacji i porozumień, z których Donald Trump chce wycofać Amerykę, doszedł jeszcze Światowy Związek Pocztowy (UPU), do którego należą dziś 192 państwa, a USA od 144 lat (zaś Polska od 1 maja 1919 r.). Organizacja ta, afiliowana przy ONZ, z siedzibą w szwajcarskim Bernie i francuskim jako językiem urzędowym, ustanawiała międzynarodowe regulacje w dziedzinie przesyłek pocztowych. W 1969 r., kiedy gwałtownie zmieniał się świat, postanowiono, że kraje rozwijające się powinny mieć niższe stawki na listy i paczki do 2 kg wysyłane do innych krajów. I tak pozostało do dzisiaj. Na tamtej liście znalazły się m.in. Chiny, które dziś wysyłają ponad 60 proc. ogółu małych paczek do USA. A w nich, za bardzo małe pieniądze, wszystko to, co np. oferuje chiński sklep internetowy Alibaba: setki tysięcy rozmaitych mniej lub bardziej potrzebnych przedmiotów domowego użytku. Zwykle wysyłane są za darmo, bo koszty przesyłek są tak niewielkie, że łatwo je wrzucić w cenę (co stanowi dodatkowy oręż promocyjny).

Okazało się, że taka rzecz wysyłana z Chin często kosztuje mniej niż same koszty przesyłki podobnego towaru na rynku amerykańskim. Co frustrowało Amazona oraz wielkie firmy kurierskie FedEx i UPS. Za namową Petera Navarro, radykalnego doradcy Trumpa do spraw handlu, prezydent ogłosił zamiar wystąpienia z UPU, przywołując argument, że organizacja wspiera nieuczciwe praktyki handlowe. Będąc poza UPU, Ameryka może ustalać ceny przesyłek w obrocie z Chinami według własnej woli, ale może też w ciągu 12 miesięcy, bo tyle trwa oficjalne występowanie z UPU, starać się narzucić korzystniejsze stawki. A akurat wojna pocztowa z Chinami przysparza prezydentowi wielu zwolenników, może nawet więcej niż każda inna, którą akurat prowadzi. Zyskałby na tym amerykański biznes, stracili niezamożni obywatele, ale wszystkim się nie dogodzi.

Inflacja ryżowa

Czy braki na krajowym rynku ryżu pogrążą prezydenta Duterte?

Prezydent Filipin Rodrigo Duterte zezwolił na import zagranicznego ryżu. Wcześniej kraj dążył do ryżowej samowystarczalności. Rolników chroniono przed zewnętrzną konkurencją, najbiedniejsi obywatele, za sprawą państwowych subsydiów, mogli liczyć na tanie ziarno, będące podstawą miejscowej kuchni i mimo dopłat jedną z najpoważniejszych pozycji w wielu domowych budżetach. Tej jesieni system nie wytrzymał. Po zbyt skromnych zbiorach krajowy ryż stał się znacznie droższy od sprowadzanego. Uwolniony import ma pomóc hamować inflację napędzaną osłabieniem miejscowego peso, rosnącą ceną ropy naftowej i przeprowadzoną



nie w tempo reformą podatków, mającą przynieść fundusze na przedsięwzięcia infrastrukturalne. Niby inflacja nie jest wysoka, to raptem 6,7 proc., ale rośnie od początku roku, jest najwyższa od blisko 10 lat, a najmocniej zdrożały towary pierwszej potrzeby. Co przekłada się na społeczne nastroje, m.in. zrozumiałe niezadowolenie warstw najuboższych. Dały prezydentowi władzę, a nie korzystają z ponad 6-proc. wzrostu gospodarczego.

Wciąż bardzo popularny Duterte (sondaże dają mu ok. 60 proc. poparcia) obiecał, że wyciągnie biednych z miserii, a teraz robi to, co każdy populistą, gdy nie udaje się spełnić obietnic: znajduje winnych. Źródła drożyzny widzi m.in. w sporze handlowym Chin z USA, a na odcinku krajowym w domniemanym spisku pośredników w handlu ryżem. Prawda czy nie, w każdym razie Duterte daje im ostrzeżenie. Trudno je ignorować, biorąc pod uwagę, z jaką bezwzględnością, bez oglądania się na prawo i fakty, prowadzi kampanię walki z narkotykami.

Co wyszło z urny

Jaki polityczny pejzaż kraju
wymalowali Polacy w wyborach samorządowych?



Według tzw. późnych sondaży firmy IPSOS dla TVP, Polsatu i TVN PiS zdobył 33 proc. głosów w wyborach do sejmików, tych najbardziej przypominających parlamentarne, druga była Koalicja Obywatelska (26,7 proc.), a trzeci PSL (13,6 proc.). Nad progiem wyborczym są jeszcze SLD (6,6 proc.), Kukiz'15 i Bezpartyjni Samorządowcy (niecałe 6 proc.). Do tych wyników jeszcze wrócimy, ale wypada zacząć od największej sensacji tych wyborów, czyli 54 proc. dla Rafała Trzaskowskiego już w I turze starcia o prezydenturę Warszawy.

Fatalny finisz Jakiego w Warszawie

Patryk Jaki uzyskał niecałe 31 proc., inni kandydaci się nie liczyli. Przed wyborami mało kto przewidywał taki wynik – ukazał się tylko jeden sondaż (Instytutu Badań Samorządowych), który sugerował rozstrzygnięcie na korzyść kandydata KO już w I turze. Przez całą kampanię badania wskazywały raczej na wyrównaną walkę w pierwszej rundzie, a widzowie TVP nie raz i nie dwa słyszeli wręcz sugestie, że Jaki dogania, a nawet przegania Trzaskowskiego.

W rzeczywistości działo się coś całkiem innego. Na ostatniej prostej okazało się, że Jaki miał może i znakomitą taktykę, bo umiał przyciągnąć uwagę mediów i przekonać wielu komentatorów, że jest bardziej pracowity od konkurenta – natomiast wystąpił poważny problem ze strategią. Kandydat PiS mijał się między deklarowaną bezpartyjnością i niezależnością a szantażem, że jak warszawiacy źle wybiorą, to rząd nie da pieniędzy na inwestycje. Jaki porównał także wybory do powstania warszawskiego, co było niemądre, patetyczne i samobójcze.

Jaki przegrał także przez bardzo silną polaryzację, która upodobniła pierwszą turę do drugiej – żaden z pozostałych 12 kandydatów nie zdobył nawet 4 proc. głosów. Nic nie zdziałał Jan Śpiewak, klęskę poniosły ruchy miejskie, przepadli bez śladu Marek Jakubiak i Janusz Korwin-Mikke. Jeden z ważnych polityków z otoczenia Jakiego obawiał się takiego scenariusza już dawno. Na spotkaniu z dziennikarzami 7 września cieszył się, że „coś się ruszyło” w kampanii Jacka Wojciechowicza, bo „wewnętrzne sondaże” przestrzegały, że sprawa może się rozstrzygnąć w I turze. Ostatecznie i Wojciechowicz, mimo sporych inwestycji w kampanię, okazał się kandydatem planktonowym.

W 2014 r. Jacek Sasin z PiS wszedł do II tury, choć miał wynik o kilka punktów słabszy niż teraz Jaki, a zawdzięczał to niezłemu rezultatowi Piotra Guziąła (8,5 proc.). Dziś Guziął jako kandydat Jakiego na wiceprezydenta okazał się kamieniem młyńskim – to jego wypowiedź o braku pieniędzy na mosty w razie zwycięstwa Trzaskowskiego osłabiła Jakiego w końcówce kampanii.

Koalicja Obywatelska i PiS prestiżowo potraktowały walkę o Warszawę, a miały tak gigantyczną przewagę organizacyjną i medialną nad resztą ugrupowań, że nie zostawiły powietrza dla nikogo innego. KO traktowała to starcie trochę jako substytut pojedynku o prezydenturę kraju, a PiS – chcąc nie chcąc – podjął to wyzwanie. Walka Trzaskowskiego z Jakim stała się zatem najbardziej upolitycznionym, a nawet upartyjnionym pojedynkiem samorządowym, a na wynik obu pretendentów

wpłynęła także ogólnopolska forma ich ugrupowań. I tu ostatni tydzień był także niekorzystny dla Jakiego. Coś się w centralnej kampanii PiS zacięło, zaczęły spływać coraz słabsze sondaże: spadły notowania PiS w sondażu partyjnym, przybyło przeciwników rządu, pogorszyły się oceny Morawieckiego po przypomnieniu jego epizodu w aferze podsłuchowej.

Wszystko to razem zaciążyło na wyniku Jakiego, tymczasem Trzaskowski wpadek uniknął, a jego sztabowcy od czasu telewizyjnej debaty na tydzień przed ciszą wyborczą dużo sprawniej niż konkurenci ogarnęli kampanię w internecie (co pokazały dane portalu politykawsieci.pl).

Wreszcie, o czym mówiło się mało, Trzaskowskiemu pomogła widoczna w mieście kampania wizerunkowa Hanny Gronkiewicz-Waltz pod hasłem „Tak zmieniała się Warszawa”. A zdecydowana większość warszawiaków bardzo sobie chwaliła rządy pani prezydent, natomiast afery reprivatyzacyjna nie stała się centralnym problemem stolicy.

Miejska klęska obozu władzy

PiS poza nokautem w Warszawie zaliczył też wiele innych ciołów. W części miast prezydenckich przegrał już w pierwszej turze, w innych jego kandydaci padną w drugiej rundzie, bo PiS ma potężny elektorat negatywny. Zwolennicy przegranych kandydatów albo poprą polityków antypisowskich, albo zostaną w domach.

W Krakowie Jacek Majchrowski pewnie – z ponad 40 proc. poparciem – pokonał Małgorzatę Wassermann i będzie zdecydowanym faworytem dogrywki 4 listopada. Trzeci, z niemal 20-proc. poparciem, był Łukasz Gibała, były polityk m.in. PO i Ruchu Palikota, obecnie niezależny.

W Łodzi około 70 proc. uzyskała wywodząca się z Platformy prezydent Hanna Zdanowska, startująca z własnego komitetu i popierana przez KO, SLD i PSL. Zadziałał tu mechanizm podobny jak w Warszawie – im bardziej PiS straszył wprowadzeniem

komisarza, tym bardziej rosły słupki Zdanowskiej. Prezydent krótko przed wyborami została skazana prawomocnie na karę grzywny za poświadczanie nieprawdy podczas starania się o kredyt (który został już spłacony). Zdaniem części prawników jako skazana nie może objąć urzędu, inni podkreślają, że kodeks wyborczy wyklucza jedynie tych kandydatów, którzy zostali skazani na karę więzienia. Trudno powiedzieć, co zrobi rząd – ewentualne wprowadzenie komisarza przy tak silnym mandacie społecznym dla Zdanowskiej wywoła demonstracje i oskarżenia o zamach na demokratycznie wybraną prezydent.

Już w I turze prezydenturę zapewnił sobie Jacek Sutryk we Wrocławiu, kandydat niezależny popierany przez dotychczasowego prezydenta Rafała Dutkiewicza, KO, SLD i PSL. To przegrana Mirosławy Stachowiak-Różeckiej z PiS, która w 2014 r. miała 45 proc. w II turze.

PiS nie będzie dobrze wspominał wyborów także w Poznaniu. Tam w I turze reelekcję wywalczył polityk PO i kandydat KO Jacek Jaśkowski, a Tadeusz Zysk z PiS ledwo przekroczył 20 proc.

Marną pociechą jest dla PiS wejście do II tury Kacpra Płażyńskiego w Gdańsku. Kandydat PiS pokonał Jarosława Wałęsę z KO, ale w dogrywce nie ma szans na choćby wyrównaną rywalizację z wieloletnim prezydentem miasta Pawłem ►

KO i PiS prestiżowo
potraktowały walkę
o Warszawę, niemal jako
substytut pojedynku
o prezydenturę kraju.

► Adamowiczem. 29-letni Płażyński po udanej kampanii może jednak stać się jedną z nowych twarzy PiS w nadchodzących wyborach parlamentarnych.

W sąsiedniej Gdyni klęskę poniósł szef komisji śledczej ds. VAT Marcin Horała z PiS, który nie dobił nawet do 20 proc., a prezydentem został ponownie niezależny Wojciech Szczurek.

Kandydaci Koalicji Obywatelskiej już w pierwszej turze wygrali w innych dużych miastach: Lublinie (Krzysztof Żuk), Białymstoku (Tadeusz Truskolaski; tu kontrkandydat Jacek Żalek był tak słaby, że PiS stracił większość w radzie miasta) i Bydgoszczy (Rafał Bruski).

PiS lepiej poradził sobie tylko w mniejszych miastach, a i to głównie na terenach, gdzie ma wysokie poparcie. Lucjusz Nadberezny obronił prezydenturę Stalowej Woli, Dariusz Stefaniuk prowadzi po I turze w Białej Podlaskiej, a Iwona Mularczyk w Nowym Sączu. Trudno za sukces PiS uznać wygraną Marcina Krupy w Katowicach, bo ten – choć miał poparcie PiS – afiszował się bezpartyjnością, a wspierał go także SLD.

Swoje wzięli wieloletni, często niezależni prezydenci. W Gliwicach ósmą kadencję – rządzi nieprzerwanie od 1993 r. – zapewnił sobie Zygmunt Frankiewicz. W Szczecinie faworytem II tury będzie prezydent miasta Piotr Krzystek, w Suwałkach już w I turze prezydenturę obronił niezależny Czesław Renkiewicz, w Rzeszowie znów wygrał Tadeusz Ferenc.

W Słupsku urząd zdobyła dotychczasowa zastępczyni Roberta Biedronia Krystyna Danilecka-Wojewódzka, która pokonała rywalki z PO i PiS. Biedroń komentował, że udało się w ten sposób „przełamać duopol PO-PiS”, co jest wnioskiem umiarkowanie uprawnionym w skali krajowej.

Lewica ma też prezydenta Częstochowy (były poseł SLD Krzysztof Matyjaszczyk), z kolei PSL wygrał w Ciechanowie (były rzecznik partii Krzysztof Kosiński). Bezpartyjni Samorządowcy wygrali w Lubinie (Robert Raczynski).

Tę wyliczankę można kontynuować – miast prezydenckich jest w Polsce 107 i emocje były wszędzie, ale o stanie partii więcej mówią niedoceniane w mediach, a przez to pozostające trochę w cieniu, wybory do sejmików.

Niedoskonałe zwycięstwo

Partia Jarosława Kaczyńskiego wygrała wybory z poparciem 33-proc. (przypomnijmy: to wynik według *late poll*). To najlepszy rezultat w historii sejmikowych startów PiS, wyższy o ponad 6 pkt proc. od wyniku z 2014 r. Jest też równy najlepszemu wynikowi w III RP (AWS w 1998 r. zdobyła 33 proc.). PiS wygrał pod względem liczby głosów w dziewięciu województwach. Najwyższe poparcie miał na wsi (39 proc.), wśród wyborców z wykształceniem podstawowym (45 proc.) i osób powyżej 60. roku życia (41 proc.). Partia rządząca nie wyeliminowała ze sceny politycznej PSL (i znów – jak w Warszawie i Łodzi – wydaje się, że im bardziej PiS kogoś atakuje, tym bardziej mobilizuje jego zwolenników).

Finisz kampanii przyniósł zaskakującą serię błędów PiS – i na froncie warszawskim, i ogólnokrajowym. Sztabowcy, jakby przestraszeni sondażami, nerwowo zmienili strategię. Podjęli nieobecny wcześniej w kampanii temat uchodźców i wypuścili spot straszący Polaków, że jak wybiorą kandydatów Koalicji Obywatelskiej, to nastanie era zamachów terrorystycznych i gwałtów. Filmik został m.in. pokazany przed ostatnim w kampanii wydaniem „Wiadomości”. Spot miał zmobilizować elektorat PiS, ale wygląda na to, że podziałał

głównie na zwolenników opozycji, zachęcając ich do głosowania przeciw PiS. Co bystrzejsi politycy obozu władzy dostrzegli błąd jeszcze przed dniem wyborów. – *Kampania miała pokazać, że PiS dotrzymuje słowa i będzie dobrze rządził w samorządach we współpracy z rządem, a spot wprowadził nagle całkiem inną, niespójną z naszymi kilkumiesięcznymi działaniami opowieść* – mówi polityk z rządu Morawieckiego.

W PiS dużo mówi się też o odpowiedzialności Zbigniewa Ziobry, który w ostatnim tygodniu kampanii (w której w zasadzie nie uczestniczył) złożył wniosek do Trybunału Sprawiedliwości o zbadanie zgodności z konstytucją jednego z artykułów Traktatu o funkcjonowaniu Unii Europejskiej. Opozycja wykorzystała to do straszenia wyborców polexitem. – *Nie wierzę, że minister sprawiedliwości przypadkiem złożył ten wniosek tuż przed wyborami. Najpierw nam nie pomagał, a teraz włożył kij w szprychy* – ocenia nasz rozmówca.

KO powtórzyła wynik Platformy z 2014 r. To nie jest poparcie pozwalające na wygraną z PiS, ale w połączeniu z nadspodziewanie dobrym rezultatem PSL (prawie 14 proc.) gwarantuje Koalicji utrzymanie władzy w większości sejmików. Schetyna ogłosił po wyborach swoje zwycięstwo i sukces w budowaniu antyPiS,

ale przed liderem PO wciąż wiele problemów. W jakiej konfiguracji pójdzie opozycja do eurowyborów? Czy będzie wspólna lista z PSL? I co się stanie z Trzaskowskim w Ratuszu? Czy będzie znakiem nadziei dla Koalicji Obywatelskiej, czy zgaśnie po trudnych pierwszych miesiącach?

PSL stracił ok. 10 pkt proc. w porównaniu z 2014 r., miał też mniej głosów niż w 2010 r. Ale przetrwał wyczerpującą bitwę o wieś, zachował dużą władzę w terenie, co konserwuje wielotysięczne partyjne struktury. Dla Kukiz'15 i SLD kluczowe jest nawet nie zdobycie mandatów w poszczególnych sejmikach (będą to raczej pojedyncze sukcesy), lecz przekroczenie progu wyborczego w całym kraju, co pozwoli myśleć o prze-

trwaniu w wyborach europejskich i wejściu do Sejmu w 2019 r. Nową siłą są – mocni zwłaszcza na zachodzie kraju – Bezpartyjni Samorządowcy, z aspiracjami, by zamieszać także w polityce krajowej. Bezpartyjni – jak wynika z *exit poll* – odebrali część wyborców zarówno Platformie, jak i PiS, i z nikim nie wykluczają koalicji – na razie sejmikowych.

Dynamika przeciw PiS

PiS formalnie wygrał wybory samorządowe i na dziś byłby faworytem starcia parlamentarnego. Ale – świat nie jest sprawiedliwy – w mediach dominuje poczucie przegranej PiS. Cóż z tego, że Jaki miał w Warszawie wynik procentowo lepszy niż PiS w Warszawie w 2015 r., skoro nie ma drugiej tury? Cóż z tego, że PiS wygrał w większości województw, skoro władza w regionach (z kilkoma ważnymi wyjątkami, jak Małopolska, Podkarpacie i Lubelszczyzna) pozostanie w rękach PO-PSL i gdzieś indziej innych partnerów? Cóż z tego, że PiS pozostał bardzo mocny w swoich bastionach, skoro rekordowo wysoka frekwencja ewidentnie pomogła opozycji?

Do urn poszło prawie 55 proc. wyborców, najwięcej w historii wyborów samorządowych. Zdjęcia kolejek przed lokalami wyborczymi na długo pozostaną w głowach Polaków, wraz z poczuciem, że akt głosowania ma sens.

Coś drgnęło w polskiej polityce i nie jest to ruch korzystny dla Kaczyńskiego. Najbliższe miesiące pokażą, czy to jakiś trwalszy trend, czy tylko chwilowe wahnięcie.

WOJCIECH SZACKI

KO powtórzyła wynik Platformy z 2014 r., co w połączeniu ze świetnym rezultatem PSL gwarantuje Koalicji utrzymanie władzy w większości sejmików.



Słuchaj



#KIMKOLWIEK
JESTEŚ



tokfm.pl

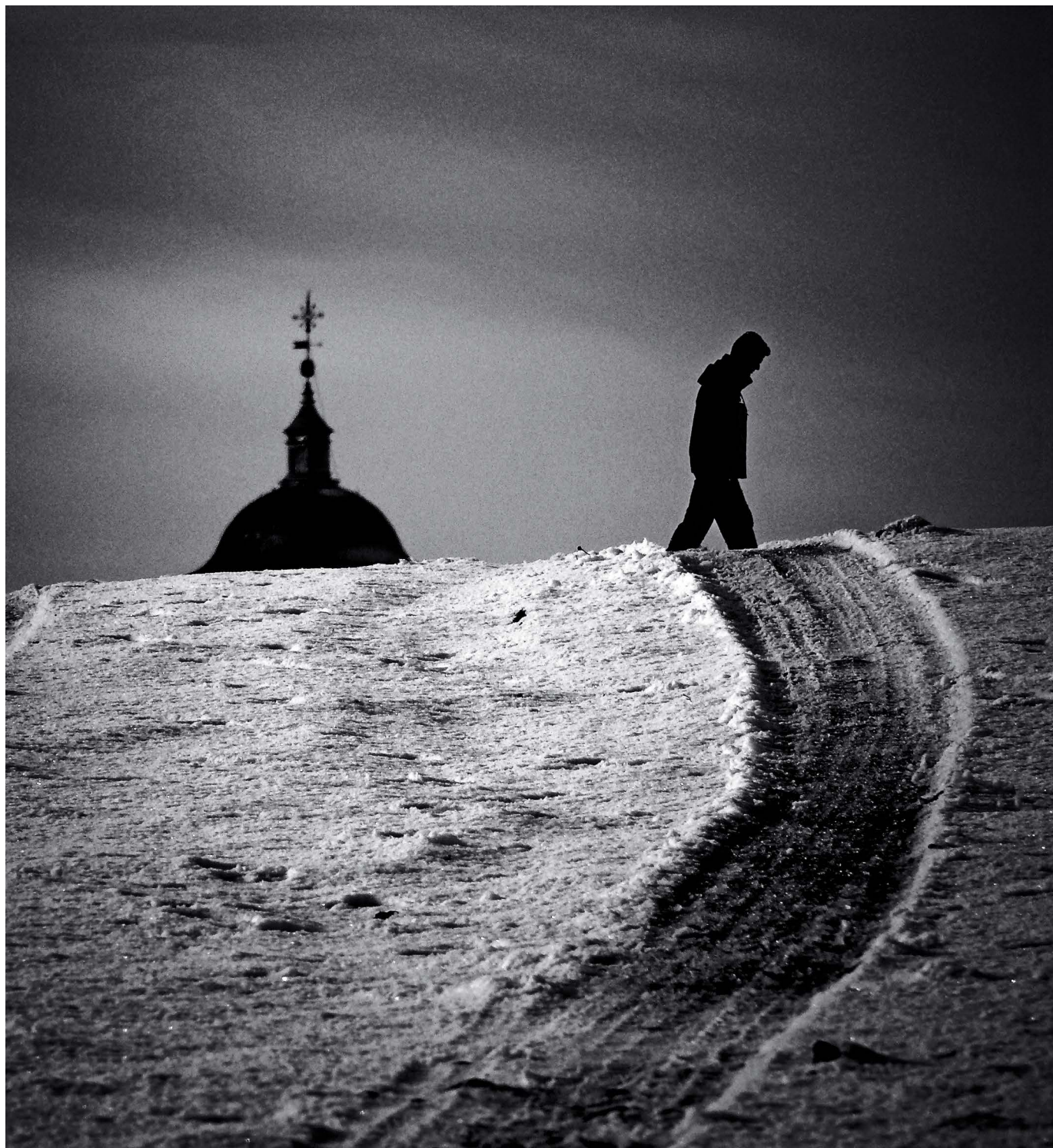


Kiedy chcesz, gdzie chcesz i na czym chcesz

[Kup książkę](#)

Z nieba na ziemię

Czy Polska wkracza właśnie na drogę zachodnich świeckich społeczeństw?



© GETTY

N

awet najbardziej antyklerykalni Polacy, którzy do dziś umieją znaleźć gdzieś w kioskach pismo „Nie” Jerzego Urbana (kiedyś sięgające nawet 700 tys. nakładu, dziś marginalne), nie wierzyli chyba w to, że Polska kiedykolwiek zacznie się tak samo sekularyzować jak reszta

Europy. Stale podawana liczba 40 proc. (choć faktycznie powoli spadająca) Polaków uczestniczących co tydzień w mszach kończyła jakąkolwiek dyskusję na ten temat. Panowało przekonanie, że prędzej człowiek skolonizuje Marsa, niż Polacy opuszczą kościoły. Ale przykład Irlandii pokazuje, że nawet w ultrakatolickim kraju mogą niespodziewanie pojawić się silne laickie trendy. Tam były to głównie wątki nierozliczanej latami pedofilii i rygorystycznych regulacji antyaborcyjnych. Rozdźwięk pomiędzy oficjalnie głoszoną surową moralnością a realiami życia duchowieństwa spowodował napięcie, które w końcu doprowadziło do wypowiedzenia posłuszeństwa instancjom religijnym. Podobny proces zachodzi również w katolickiej Hiszpanii czy we Włoszech.

I chociaż tradycyjni Kościół „kontratakuje”, zwoływane są wielotysięczne manifestacje „w obronie rodziny”, to widać, że religia traci swoje uprzywilejowane miejsce w strukturze państwa. Nawet jeśli instytucjonalnie ma wciąż duże wpływy, to równie silne są tendencje antyklerykalne, a sekularyzacja krok po kroku postępuje. Nie ma już dominacji, jaka występowała przez wiele dekad. Nie wiąże się to przy tym z żadnym ograniczaniem swobód osób wierzących, zdejmowana jest tylko swoista państwowa kuratela nad Kościołami, religia traci wymiar oficjalnego wyznania, przestaje narzucać wzorce zachowań i poglądów.

Pełne kościoły i pełne kościołów miasta zdawały się gwarantować wieczność polskiemu katolicyzmowi. W takim otoczeniu demokracja liberalna z konstytucyjnie gwarantowanym rozdziałem Kościoła i państwa musiała być fikcją. Można było w dyskusjach parlamentarnych i publicystycznych pokazywać palcem odpowiedni artykuł konstytucji, ale nie była to nawet konfrontacja Dawida z Goliatem, tylko Dawida ze ścianą płaczu, w którą mógł co najwyżej włożyć paperek ze swoim pobożnym życzeniem.

„Kler” jak taśmy

Nic dziwnego, że politycy od lewa do prawa ustępowali Kościołowi niemal we wszystkim. Nie wiedzieli dokładnie, ile realnie znaczy poparcie Kościoła lub jego brak, ale woleli tego nie sprawdzać. W efekcie Polska pozostaje jednym z nielicznych państw w Europie bez edukacji seksualnej w szkołach, prawa o związkach partnerskich i skrajnie restrykcyjnej ustawie antyaborcyjnej. Kościół funkcjonuje zaś jak państwo w państwie. Jego finansów państwo nie kontroluje. Jest natomiast dotowany na wiele sposobów, od uniwersytetów, przez szkolnych katechetów, po subwencje dla katolickich organizacji, na czele z imperium ojca Rydzyka. Toruński „Ojciec Dyrektor” w każdej kadencji posiada swoją znaczącą reprezentację parlamentarną i jest de facto niemal oddzielnym koalicjantem partii rządzącej. Powtarzamy tę wyliczankę i nic zupełnie się nie zmienia, a jeśli już – co obserwujemy od trzech lat – to na gorsze.

Tak to wygląda z zewnątrz. Tymczasem pod polityczną powłoką Polska niepostrzeżenie stała się państwem spełniającym właściwie wszystkie opisywane przez socjologów warunki sekularyzacji. Polacy w trzy dekady stali się społeczeństwem nowoczesnym

z różnymi tego konsekwencjami, także dla religii. Przestajemy być społeczeństwem losu i zaczynamy być społeczeństwem wyboru.

Podobnym procesom uległ nawet sam Kościół i księży, co stało się – jeszcze bardziej niż pedofilia – bulwersującym tematem filmu „Kler”, który bije rekordy popularności. W skondensowanym sugestywnym filmowym przekazie Polacy zobaczyli polski Kościół nieświęty, w którym nie ma sacrum, nie ma wiary, nie ma doświadczenia religijnego, ani prawa, ani trzeźwości, ani celibatu, ani uczciwości, nawet „ochrony życia”. A księża nie spełniają ani jednego z przykazań wiary. „Kler” zadziałał trochę jak taśmy polityków, bo co innego wiedzieć, a co innego usłyszeć i zobaczyć, nawet jeśli w przypadku „Kleru” to oparta na faktach – ale jednak kreacja.

Wstępem do sekularyzacji wszędzie na świecie była „desakralizacja” Kościoła, przejmowanie przez kler świeckich sposobów życia i funkcjonowania. W Polsce to dotyczy już wszystkich szczebli, co doskonale wychwycił i pokazał reżyser Wojciech Smarzowski. Od biskupa Mordowicza po księży na głębokiej prowincji, gdzie ksiądz żyje z kochanką i ogólnie nie stroni od przyjemności życia. Obyczajowość księży nie różni się tu niczym od obyczajowości świeckich z tylko jednym, jeszcze bardziej bulwersującym, wyjątkiem: bezlitosnym wykorzystywaniem władzy nad wiernymi. I obowiązującym przez lata nakazem milczenia – „dla dobra Kościoła”.

Zauważmy, że świat przedstawiony w „Klerze” to stałe poruszanie się między dwiema epokami: teraźniejszą i tą z czasów wczesnej młodości grających główne role księży, gdy sami byli wykorzystywani seksualnie – wtedy sankcja Kościoła wystarczała do stłumienia sprzeciwu („Czy wierny zdaje sobie sprawę z tego, że atakuje Kościół Chrystusowy?”, pyta ofiarę ksiądz w „Klerze”). Dziś to przestaje działać, czego zresztą najlepiej dowodzą i co wykorzystują nawet sami księża do szantażowania swoich oprawców (jak ks. Lisowski, grany przez Jacka Braciaka, szantażujący biskupa Mordowicza). Ofiary zaczęły mówić, hierarchowie zaczęli przeproszać. Sądy zaczęły sądzić, ale już inaczej niż kiedyś, gdy standardy wyznaczał prokurator Piotrowicz zdający się obwiniać ofiarę za obrzydliwe czyny księdza-pedofila z Tylawy. Symboliczne znaczenie ma to, że sąd w Poznaniu za bestialskie gwałty na bezbronnej ofierze zasądził milionowe odszkodowanie, które zapłacić ma nie skazany ksiądz Roman B., ale jego Kościół, czyli Towarzystwo Chrystusowe. I ten wyrok został właśnie wykonany, pieniądze przekazane. Sondaż wykonany dla TVN24 pokazuje, że aż 80 proc. Polaków uważa, że Kościół powinien także finansowo odpowiadać za czyny pedofilskie dokonywane przez duchownych. Takie liczby są dowodem na kopernikański przełom: to Kościół kręci się wokół Polski, a nie Polska wokół Kościoła.

Znika lęk

Jeszcze przed „Klerem” rekordy popularności ustanawiały książki z głosami ofiar. „Zakonnice odchodzą po cichu” uniwersyteckiej socjolożki Marty Abramowicz sprzedawana była nawet w Biedronce. Tym śladem poszły „Dzieci, które gorszą” i „Żeby nie było zgorzienia” adwokata Artura Nowaka i psycholożki Małgorzaty Szewczyk-Nowak. Ten proces dobrze podsumowuje mapa pedofilii, stworzona przez Agatę Didusko-Zalewską i Joannę Scheuring-Wielgus razem z Fundacją ►

► Nie Lękajcie Się, na której odnotowano przypadki pedofilii w polskim Kościele. Stronę udostępniającą mapę już pierwszego dnia odwiedziło ponad pół miliona internautów. Tak jak władzę PZPR obalić mogli tylko robotnicy, tak dziś wierni-ofiary podważają władzę polskiego Kościoła. Zawsze silny w Polsce ludowy antyklerykalizm, piętnujący zwłaszcza przypadki nieobyczajności kleru i finansowego rozpasanía, choć często tłumiony nakazami wspólnoty, może się nagle – na skutek jakiegoś impulsu – głośno zmanifestować.

Każdy wiedział, że ten czy tamten ksiądz grzeszy, ale teraz każdy wie, że wszyscy wiedzą. Czar pryska i z Kościoła polskiego spada święty baldachim (tytuł przełomowej książki na temat sekularyzacji Petera Bergera z 1967 r.). Komuna została zdelegitimizowana, gdy ludzie się zobaczyli razem i policzyli. Dziś mamy do czynienia z podobnym zjawiskiem. O filmie „Kler” wszyscy wiedzą, że jest tam mniej dobrych księży niż w polskim filmach o drugiej wojnie światowej dobrych Niemców, a mimo to, a może właśnie dlatego, Polacy pielgrzymują na „Kler”, jakby był lekturą szkolną. Znika gdzieś ten specyficzny lęk przed księżmi i hierarchiami, co powiedzą, czy nie napiętnują. Oczywiście wciąż jest inaczej w dużych miastach niż poza nimi, gdzie wspólnoty parafialne potrafią wyznaczać modele dopuszczalnych postaw i zachowań, ale i tam to się zmienia, czego dowodem sprzeczności w tych miejscowościach, gdzie lokalni notabie próbowali zablokować wyświetlanie „Kleru”.

Młodzi odchodzą

Najważniejszym warunkiem sekularyzacji jest ten, który w większości państw spełniał się jako pierwszy – wyzwalanie się instytucji publicznych spod wpływów religii. To, co najbardziej rzucało się w Polsce w oczy, czyli obecność biskupów na wszelkiego typu ceremoniach państwowych i obecność polityków na ceremoniach religijnych, to nie jest wcale najważniejsze. Ostatecznie tak mogłoby być nawet przy rzeczywiście przestrzegającym rozdziale państwa i Kościoła. W USA politycy bez przerwy przysięgają na Boga, a rozdział państwa i Kościoła jest bezwzględnie przestrzegany.

Znacznie większe znaczenie, bo wprost wkraczające w działanie instytucji publicznych, ma religia w szkołach. U nas jest nawet na świadectwie. Ale religia w szkołach, zamiast przeciwdziałać sekularyzacji, sprzyja jej. Księża i katecheci działają zgodnie z prawem sformułowanym przez ks. Józefa Tischnera: „Jeszcze nie widziałem nikogo, kto stracił wiarę, czytając Marksa, za to widziałem wielu, którzy stracili ją przez kontakt z księżmi”. Na dłuższą metę, z punktu widzenia przyszłości katolicyzmu w Polsce, najważniejsze jest nie to, czy przestrzegamy zewnętrznych oznak wiary, tylko czy faktycznie się z nią identyfikujemy. Szkolne lekcje religii absolutnie temu nie sprzyjają.

Niedawno „Gazeta Wyborcza” przedstawiła badania, z których wynika, że gdyby o miejscu nauczania religii mieli decydować zainteresowani, czyli uczniowie, to zostałaby ona natychmiast wyprowadzona ze szkół. Okazuje się, że aż 61 proc. uczniów w wieku 15–19 lat jest przeciwko religii w szkołach. To duża różnica w porównaniu do rodziców, spośród których połowa osób w wieku od 35 do 54 lat pozostawiłaby religię w szkole.

Prestżowy amerykański instytut badawczy Pew Research Center przeprowadził światowe badania uczestnictwa w obrzędach wiary, dzieląc społeczeństwo na młodszych (do 40. roku życia) i starszych (po 40. roku życia). O ile wśród starszych co niedziela do kościołów uczęszcza 55 proc., o tyle wśród młodszych jest

to już tylko 26 proc. Polska okazuje się pod względem spadku religijności światowym liderem! Także inne wyniki pokazują, że rozjazd religijny między starszymi i młodszymi jest u nas największy w całym świecie chrześcijańskim.

Wśród starszych 40 proc. uważa, że religia jest bardzo ważna w ich życiu, ale wśród młodszych już tylko 16 proc. Interpretacja? Badacze twierdzą w raporcie, że „niespodziewana różnica międzypokoleniowa może wynikać z powiązań Kościoła katolickiego z nacjonalizmem”. Wskazują także na komunizm jako na doświadczenie różnicujące pokolenia. Młodzi go nie doświadczyli, więc nie zaprowadził go do kościołów jak wcześniej starszych. Przypomina mi to, jak kiedyś na spotkaniu u kard. Nycza nieodżałowany Wiktor Osiatyński zaproponował, aby episkopat rozważył zarządzenie cotygodniowych mszy dziękczynnych w intencji gen. Wojciecha Jaruzelskiego, bo gdyby nie stan wojenny, nie byłoby tak pełnych kościołów. W tym żarcie było wiele prawdy.

Interesujących badań na temat stosunku młodzieży do religii jest znacznie więcej. Prof. Józef Baniak z UAM od lat sonduje młodzież na temat najważniejszych zasad wiary. Okazuje się, że młodzi katolicy o wierze katolickiej nie mają bladego pojęcia. Nie potrafią wypowiedzieć najbardziej podstawowych modlitw. Pytani o liczbę ewangelii, odpowiadają w przedziale od jeden do osiem. Do składu Trójcy

św. włączani są św. Józef, św. Piotr, Matka Boska, a nawet Jan Paweł II. Prof. Baniak uważa, że analfabetyzm religijny Polaków zaczyna się już od księży, którzy kształceni są beznadziejnie i sami często nie dysponują nawet podstawową wiedzą nie tylko w zakresie religii, ale także nauk humanistycznych, nie mówiąc o psychologii pracy w grupie.

W badaniu seksualności polskiej młodzieży istotnych śladów katolicyzmu już praktycznie nie widać, choć etyka seksualna jest jednym z głównych przekazów Kościoła. Seks przed ślubem za niedopuszczalny uważa tylko 6,7 proc. badanych! Przeciw sztucznej antykoncepcji jest 6 proc. matu-

rzystów. Wspólne mieszkanie przed sakramentem małżeństwa? Niedopuszczalne dla... 3,7 proc. A 70 proc. ogółu Polaków (sondaż OKO.press) opowiada się za złagodzeniem ustawy antyaborcyjnej. Tu już Kościół polski stracił całkowicie władzę.

Dwie sekularyzacje

Mamy właściwie do czynienia z dwiema sekularyzacjami w dwóch pokoleniach. To, które u progu III RP oddało, „zawierzyło” Polskę Kościołowi (z wdzięczności, ale i dla politycznego interesu), właśnie mu ją odbiera, bo Kościół swoimi obecnymi afiliacjami politycznymi stał się dla wielu z nich obcy, nawet wrogi. Drugie, które miało żyć według reguł napisanych przez starszych, być pokoleniem Jana Pawła II, masowo Kościół ignoruje, nie utożsamia się z nim – poza formułą obrzędową, ceremonialną. Można w Kościół polski łądować miliony i miliardy, prezydent z premierem mogą klękać przed biskupami, a młody Polak nawet tego nie obejrzy, a jeśli zdarzy mu się, to będzie mu to doskonale obojętne. Może poza grupą narodowców, dla których religia jest plemiennym, grupowym totemem, wykorzystywanym jako narzędzie agresji. Dla innych, mocniej przywiązanych do religii, wiara staje się coraz bardziej sprawą osobistą, indywidualną bądź środowiskową, ograniczoną do mniejszych wspólnot.

„Wielka Polska katolicka”, przy pozorach triumfu, jest w moralnym i realnym odwrocie.

SŁAWOMIR SIERAKOWSKI

O ile wśród starszych co niedziela do kościołów uczęszcza 55 proc., o tyle wśród młodszych jest to już tylko 26 proc. Polska okazuje się pod względem spadku religijności światowym liderem!



Lubi postawić

Jarosław Kaczyński i Grzegorz Bierecki podczas odsłonięcia pomnika Lecha i Marii Kaczyńskich w Białej Podlaskiej, 2015 r.

Senator Grzegorz Bierecki gra rolę dobrodzieja i filantropa, ale choć dysponuje wielkim majątkiem, najchętniej rozdaje cudze pieniądze, dając przy okazji zarobić swoim ludziom.

VIOLETTA KRASNOWSKA

Tu ma stanąć ten pomnik! – stuka mocno obcasem we fragment kostki brukowej na placu Wolności w Białej Podlaskiej starszy pan, chwilę wcześniej łapiący na ławeczce ostatnie promienie październikowego słońca. Chodzi o pomnik Czynu Niepodległościowego – kolejny pomysł Grzegorza Biereckiego, senatora z Białej Podlaskiej. Jeśli tak, to pomnik będzie musiał się wcisnąć między czekający nie wiadomo na co rozłożysty kilkustopniowy cokół po jednej stronie a szary obelisk z napisem „Niepodległej” i orłem na szczycie po drugiej (tu odbywają się główne uroczystości obchodów

11 listopada, od kiedy prezydentem Białej Podlaskiej został 33-letni Dariusz Stefaniuk, współpracownik Biereckiego ze SKOK).

Senator Bierecki pomysł postawienia pomnika Czynu Niepodległościowego ogłosił niespodziewanie podczas uroczystości z okazji Dnia Flagi 2 maja, kiedy przyjechał na obchody do Białej Podlaskiej. Pomnik w kształcie żołnierskiego krzyża przepasanego białą-czerwoną flagą stałby w tle orła. A być może orzeł powinien zmienić swoje usytuowanie – dywagował przed mikrofonem. – Ale póki co pomnik jest w fazie projektowania – uciął, dodając, że dołoży się do jego budowy.

Wszyscy wiedzą, że ma z czego. Twórca SKOK i przez 20 lat prezes Krajowej Spółdzielczej Kasy Oszczędnościowo-Kredytowej w Sopocie – „czapy” nad wszystkimi SKOK, które na nią ►

► musiałyłożyć w zamian za doradztwo. Nadal ma udziały lub jest we władzach wielu spółek powiązanych ze SKOK, na czele ze SKOK Holding, który jest m.in. właścicielem firm ubezpieczeniowych należących do systemu SKOK (dziś nazywa się już neutralnie SaltLux Holding) – z siedzibą w Luksemburgu – który w 2017 r. miał 23 mln zł zysku i którego Bierecki jest członkiem zarządu.

Zresztą spółki-satelity, którymi obrósł system SKOK, mają dziś więcej pieniędzy niż same Kasy. Zarządca komisaryczny SKOK Wspólnota po tym, co w nim zastał, nazwał go wręcz wydmuszką – całą działalność operacyjną Kasy została wyprowadzona do zewnętrznych firm, na wszystko były umowy outsourcingowe, pieniądze klientów wypływały z Kasy szerokim strumieniem – aż do upadłości. Cały ten system skrupulatnie rozpisał ostatnio „Dziennik Gazeta Prawna”. O ile Kasy mają 210 mln zł funduszy własnych, o tyle w systemie rozlicznych spółek stworzonych wokół nich jest aż 2,5 mld zł! Firmy należące do systemu w 2017 r. miały ponad 140 mln zysków. Nic zatem dziwnego, że – jak podaje w oświadczeniu majątkowym senator Bierecki – z należności ze stosunku pracy w tych firmach ma prawie 150 tys. zł rocznie. Do tego dochodzą zyski z zagranicy – prawie 450 tys. zł i dochody ze zbycia akcji, daje mu to roczny zarobek sięgający prawie 700 tys. zł. Diety z Senatu i senatorskiego mandatu – łącznie 50 tys. zł – to skromny dodatek. Ponadto senator zadeklarował oszczędności: prawie 5,5 mln zł, 1,3 mln dol., 1,5 mln euro, 250 tys. funtów oraz 114 tys. zł w obligacjach skarbowych.

Księstwo Biereckiego

– *Ludzie się cieszyli, że taki majątny człowiek tu przyjdzie. I ja, mówiąc szczerze, miałem taką nadzieję, że wraz z nim szeroką rzeką wpłyną finansowe środki zewnętrzne, które na tym terenie są niezbędne* – mówi Stanisław Żmijan, poseł PO z niedalekiego Międzyrzecza Podlaskiego, gdy Jarosław Kaczyński w 2011 r. rzucił Biereckiego jako spadochroniarza z Wybrzeża do nowo utworzonego małego (na jeden mandat senatorski) okręgu Białej Podlaskiej, Parczewa i Radzynia Podlaskiego. Dziś Biała Podlaska nazywana jest księstwem Biereckiego.

Zaraz po wygranych wyborach kupił w mieście dom. W każdym razie tak się powszechnie w Białej Podlaskiej uważa, że kupił, bo to jest jego siedziba – tu ma biuro, swoją fundację i gazetę mu przychylną. Tyle że w sporej części finansują to wszystko spółki związane ze SKOK. Budynek, co wynika z dokumentów, naprawdę kupiła spółka Arenda. To jedna z satelickich spółek – utworzona, żeby zajmować się podnajmowaniem Kasom nieruchomości pod siedziby i zarabiać na tym. Bierecki jest jej współwłaścicielem, ma w niej udziały wartości prawie 4 mln zł. Oprócz jego biura senatorskiego znalazło się tu miejsce na biuro innego pracownika SKOK, posła Janusza Szewczaka, przez lata głównego ekonomisty Kasy Krajowej SKOK, który w 2015 r. dostał się z tego okręgu do Sejmu, zdobywając niecałe 8 tys. głosów. Często razem występują. Ich biura łączy wspólny numer telefonu i pracownik, 28-letni Kamil Paszkowski, jednocześnie zatrudniony w gdyńskiej Apelli – jeszcze innej okołoskokowej spółce (wcześniej Media SKOK). Utworzono ją do prowadzenia strategii marketingowej Kas – oczywiście za pieniądze tychże Kas. Spółka miała w 2017 r. 47,8 mln zł przychodów i nadal finansowo wspiera działania senatora na Podlasiu (w końcu jest członkiem jej rady nadzorczej). Kupiła od lokalnych przedsiębiorców i wydaje „Tygodnik Podlaski” sympatyzujący z obozem senatora.

Prezesa powołanej przez senatora fundacji jego imienia Kocham Podlasie pracuje równolegle w Apelli jako jej wiceprezes. Dlatego na miejscu fundację reprezentuje często Kamil Paszkowski, i to on odbiera telefon komórkowy przypisany fundacji. Jest także radnym w Białej Podlaskiej, a teraz kandydował na wójta gminy Biała Podlaska. Bo samego prezydenta ze SKOK – Dariusza Stefaniuka – Biała Podlaska już ma, od zwycięstwa w 2014 r. Przez lata pracował na stanowisku doradcy Kasy Krajowej SKOK, a na fotelu prezydenta zasiadł, przechodząc wprost ze spółki komandytowo-akcyjnej Towarzystwo Zarządzające SKOK. I od razu ściągnął do magistratu ludzi ze SKOK z Wybrzeża, a do obsługi prawnej wynajął słynną kancelarię z Sopotu, zwaną prezydencką, także powiązaną ze SKOK. Praca w biurze senatora okazuje się dobrą rekomendacją. Robert Gmitruczuk, sekretarz gminy Kodeń, a od 2011 r. dyrektor biura senatora RP Grzegorza Biereckiego, został w 2015 r. wicewojewodą lubelskim.

Stawia pomniki i muzea

Dlatego słowa senatora o pomniku odebrano w Białej Podlaskiej serio. W redakcji „Podlasiaka” od razu rozdzwoniły się telefony od świadków tych słów – zdziwionych, jak opisała redakcja, tak arbitralnym stawianiem sprawy. „Mówili, że wszyscy miesz-

kańcy powinni mieć coś do powiedzenia w sprawie formy pomnika i miejsca jego usadowienia” – opisała redakcja i ogłosiła sondę, w której ok. 80 proc. opowiedziało się przeciw pomnikowi w takiej formie. Rozszalał się gazetowy Facebook – ponad 100 komentarzy podpisywanych imieniem i nazwiskiem: „Nie za dużo tych krzyży wszędzie?”, „Są ważniejsze inwestycje w naszym mieście. Pomników już mamy dość!”, „Jakieś jaja, przez 4 lata rządów na tyle tylko stać pisowską władzę w Białej? Na stawianie pomników? Bo jakoś nic ponadto”, „Niech Senator popatrzy na bałagan w Białej. Od 40 lat płacimy podatki i nie możemy na wiosnę wyjść z podwórka, bo na ulicy błoto, a teraz kurz, jest on gorszy od smogu. Mówię tu o ulicy Tańskiego. To wielki wstyd, do połowy asfalt, a dalej bagno, no i 21 wiek już dawno mamy”.

Pewnym uzasadnieniem tych emocji może być fakt, że to kolejny już pomnik zainicjowany przez senatora w ostatnim czasie. Dopiero co w Białej Podlaskiej stanął pomnik Lecha i Marii Kaczyńskich. Przewodniczącym komitetu budowy był Kamil Paszkowski z biura senatora. Ogłoszono zbiórkę publiczną, ale – jak zarzekają się mieszkańcy – nikogo z puszkami na ulicach nie widzieli. Podano, że komitet zebrał blisko 200 tys. zł i tyle mniej więcej kosztował pomnik. Za pomnikiem stanęło coś w rodzaju sarkofagu z listą darczyńców na boku – ponad 40 nazwisk i firm. Złotymi literami wypisano tych, którzy dali więcej niż 5 tys. zł – na czele są Marzena i Grzegorz Biereccy, zaraz obok prezydent Dariusz Stefaniuk i ludzie ze środowiska SKOK. Na uroczystym odsłonięciu 2 maja 2017 r. z mszą i kompanią honorową wojska był Jarosław Kaczyński, Marta Kaczyńska, Mateusz Morawiecki z połową rządu, odczytano też list prezydenta Andrzeja Dudy. W pierwszym rządzie stał Bierecki, chylący kornie głowę przed pochwałami prezesa. Cały teren ogrodzony był barierkami, ale zgromadzona publika mogła wszystko zobaczyć na telebimach.

Senator uważany jest za mecenasa z gestem. Kiedyś ufundował bursztynową sukienkę dla Matki Boskiej na Jasnej Górze, wyłożył też pieniądze na film o księdzu Popiełuszcze. Tyle że gdy to sprawdzić, okazuje się, że to nie jego pieniądze,

Spółki-satelity, którymi obrósł SKOK, mają dziś więcej pieniędzy niż same Kasy. Zarządca komisaryczny SKOK Wspólnota po tym, co w nim zastał, nazwał go wydmuszką – całą działalność operacyjną Kasy wyprowadzono do zewnętrznych firm.